№ 17. Warszawa, dnia (17) 29 Kwietnia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1. Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.

Za zmianę adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Cieński od dwóch godzin biegał po szerokich ulicach „Hyde-Parku" z miną wyrażającą wysiłek myśli, ciekawość i zakłopotanie.

Kustosz Muzeum doręczył mu dziś rano list, który wytrącił go z równowagi.

W liście nie było nic nadzwyczajnego, a nawet, ściśle mówiąc, nic zgoła nie było, może jednak dlatego właśnie oddziałał on w tak dziwny sposób na młodego filologa.

Listy podobne pisuje wiele kobiet; wiele też kobiet innych listów wcale pisywać nie umie. Ale co się wybacza, jako rzecz zgoła naturalną, jakiejś „życzliwej kuzyneczce," wydaje się wręcz okropnością u poważnej, inteligentnej panny, studyującej astronomię.

Bo cóż ona właściwie w tym swoim osobliwym liście napisała? Jedno z drugiem nic: że jej smutno, że tęskni za towarzystwem „miłego koleżki," że obawia się, czy i jemu nie jest smutno... i tym podobne banialuki.

Najpierw, jak może być smutno człowiekowi, który, chwała Bogu, jest zdrów, ma głowę pełną i kieszeń niepróżną? Smutku doświadczać mogą tylko: nieuleczalni chorzy, głodomory i leniuchy.

Co do „miłego koleżki," to tytuł ten wygląda na żart lub impertynencyę. Sam Cieński wie doskonale, że nie jest miłym; nigdy się też zresztą być nim nie starał. Niech sobie będą miłymi słuchacze medycyny, sposobiący się na „damskich lekarzy" i słuchacze prawa, poszukujący zawczasu klienteli wśród bogatych dziedziczek—filolog doskonale obyć się może bez tego.

Biegał, przystawał, wpatrywał się bezmyślnie w niezmierne, krótko przystrzyżone trawniki—wreszcie zawołał:

— Znalazłem! Ten list jest *palimpsestem.* Pod jego tekstem widomym, ukrywa się inny, i on to właśnie mieści w sobie myśl właściwą. Ale jaki to jest ten tekst drugi?

I znów zaczęła się bieganina, połączona z przygryzaniem ust, marszczeniem czoła oraz wyjmowaniem i chowaniem zegarka.

Niewiadomo, czy Cieńskiemu udało się ostatecznie odczytać ten „palimpsest," zawilszy dlań od egipskich papyrusów. Cokolwiek bądź, pośpieszył on z ukończeniem poszukiwań muzealnych, i już w kilka dni później przepływał kanał, dążąc z powrotem do Paryża.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TOM II-gi.

I.

Ślub kościelny Cieńskich, będący dopełnieniem ich ślubu cywilnego, odbył się w cichości i zgoła nieznacznie. Nawet w hoteliku pani Fleury nic o nim nie wiedziano, a usunięte z przed drzwi krzesło nie zwróciło na siebie niczyjej uwagi.

Miodowe miesiące, które przypadły na czas feryi, postanowili małżonkowie spędzić nad morzem, w miejscowości cichej i nie drogiej. Obu tych warunków domagała się Wanda. Cisza potrzebna była jej nerwom, a taniość—pewnemu punktowi honoru, który nakazywał jej nie być mężowi swemu ciężarem.

Cieński był wprawdzie człowiekiem zamożnym, i żonie swej mógł był pozwalać na pewne „fantazye," Wanda jednak, jak we wszystkiem, tak i w małżeństwie, była za zupełną równością praw, a więc i — obowiązków.

I ona zresztą biedną nie była. Popiołek przed śmiercią nietylko darował jej dług, ale nadto uczynił ją spadkobierczynią swej całej, dość znacznej schedy. Do odbioru jej potrzebne były jeszcze pewne formalności; w każdym razie zapis ten zdejmował z serca Wandy największą troskę, zapewniając możność dalszego, swobodnego kształcenia się. Pod tym względem małżeństwo z Cieńskim nic w jej życiu nie zmieniało.

Cieński proponował wyjechać do kraju, odwiedzić rodziców i znajomych, ale Wanda odrzuciła propozycyę jednem słowem:

— Zawcześnie...

Pojechali przeto nad morze.

Miejscowość była jakby umyślnie dla zakochanych stworzona. Są na świecie takie urocze, zaciszne kąty, nad którymi zdaje się unosić uśmiech i błogosławieństwo Boga. Wszystko tam mówi o marności zabiegów ludzkich, zrodzonych przez pychę, chciwość ambicyę i inne uczucia poziome, których jedynym przedstawicielem i wojownikiem w przyrodzie, jest — człowiek. Wszystko jednocześnie zachęca i nawołuje do zjednoczenia się w miłości.

Powiewy wiatru były tu pieszczotami, szum fal—muzyką; niebo miało raz podobieństwo do kryształowego dzwonu, kiedyindziej — do kotary z niebieskiego jedwabiu, rozpiętej nad łożem nowożeńców.

Wszystkie kwiaty cudownie pachniały, wszystkie ptaki dzwoniły jak dzwonki, wszyscy ludzie mieli na twarzy uśmiech.

Do poetyczności tego zakątka przyczyniało się w stopniu wysokim, że nie był on miejscem modnych schadzek tak zwanego „towarzystwa." Piękności i powagi przyrody nie zamącał tu nieznośny snobizm, który z modnych miejsc kąpielowych czyni jakby dalszy ciąg bulwarów, klubów, salonów, buduarów, giełdy, teatru—całej jednem słowem, błyszczącej nędzy życia ziemskiego.

Cieńscy zamieszkali w prostym domku rybackim, który zresztą był schludny, wygodny i tak ładny, że się napraszał pod pędzel. Mieli tu obfitość dobrego mleka, ryb morskich i jarzyn; mieli widok na morze, którego szum do snu ich kołysał, mieli kąpiel o sto kroków ledwie od domu, mieli wreszcie bezmiar ciszy, którą prócz morza przerywały tylko rzewne piosenki młodej rybaczki tęskniącej za nieobecnym mężem.

Garstka osób, które tu równocześnie z niemi zdrowia i wytchnienia szukały, na wielkiej przestrzeni rozproszona, tak w nią wsiąkła, że się obecności jej prawie wcale nie czuło. Każdy żył swoim dworem i sam sobie musiał wystarczać. Każdy też doświadczał złudzenia, że zerwały się wszystkie nici wiążące go ze światem. Jest wielu takich, którym myśl ta nie byłaby przyjemną; tacy jednak do ustronia tego nie zaglądali.

Po rannej, obowiązkowej kąpieli, towarzystwo tutejsze rozpryskiwało się na wszystkie strony, stając się jedynem w swoim rodzaju społeczeństwem — samotników. Tak jednak rzeczy się układały, że prawie każdy samotnik miał swoją samotnicę. Te pary samotne i nigdy z innemi nie łączące się, błądziły przez cały dzień, a gdy księżyc świecił, to i przez noc całą, po wybrzeżu, między skałami i po wydmach, rzadkimi chwastami porosłych, lub też, przy spokojnem morzu, kołysały się w łodziach na fali.

Jedne z nich zabawiały się malarstwem, inne—rybołóstwem, inne jeszcze—herboryzacyą. Ale to były tylko dodatki. Zajęcie główne polegało na patrzeniu sobie w oczy, ściskaniu się za ręce, obejmowaniu się za szyję i całowaniu. Wszystko to tem swobodniej i otwarciej mogło być uprawiane, że kochanków podpatrywały tylko mewy, unoszące się wysoko z piskiem żałosnym.

Miejsce to było jakby jedną wielką „kochalnią."

W powietrzu unosiła się tu jakaś odrębna woń miłości, odbierająca hart, sprawiająca zawrót i upojenie. Załomy skał, mchami aksamitnymi wysłane, cieniste i chłodne groty, wklęsłości dolin pełne kwiatów o zapachu odurzającym, ustronne laski, których alkowianej ciszy nawet świergot ptactwa nie przerywał—szeptały bez przerwy kusząco:

— Kochajcie... kochajcie... kochajcie...

Ażeby, żyjąc w tej atmosferze ognia, nie rozgrzać się i nie zapłonąć, trzeba było być chyba napełnioną „zimnymi humorami" salamandrą.

Ranek był prześliczny. Rozsypał on tyle barw po niebie, ziemi i wodzie, że świat cały połyskiwał tęczowo, jak koncha morska.

Morze w niektórych miejscach karbowało się drobniutkiemi falami, każda zaś fala zdawała się innym migotać kolorem; gdzieindziej miało gładkość i ciężkość oliwy. Na niebie widać było jakby odbicie morza. Tak samo stroiło się ono w drobne, tęczowo połyskujące chmurki, i tak samo połyskiwało gdzieniegdzie płatami zupełnie gładkiego błękitu. W dali pełzały po wodzie mgły różowe, liliowe, złociste, zakrywając całkowicie linię horyzontu. Nie było widać gdzie kończy się morze, a zaczyna niebo. Dwie te potęgi zlewały się razem, tak, że zdawało się iż płynąc w kierunku mgieł owych, po pewnym czasie zapłynie się do Boga.

Zaraz po kąpieli i śniadaniu, Wanda popłynęła z mężem na morze. Czyniła to często i z porady lekarza i z własnego upodobania. Przy spokojnej fali, powolne kołysanie się w łodzi wprowadzało ją w rodzaj półsnu, nadzwyczaj dobroczynnego, gdyż zwalniającego od myślenia. Zmęczony jej mózg pożądał i potrzebował takiego odpoczynku.

Ale tego ranka było coś w powietrzu, na ziemi i na wodzie, co nie dawało jej zapaść w zwykłe odrętwienie. Czuła się podnieconą i niespokojną. Drażnił ją leniwy ruch łodzi, drażniło nerwowe rzucanie się Cieńskiego, drażniły oczy przewoźnika, wpatrującego się kolejno to w nią, to w jej towarzysza.

Przewoźnik, stary, wysłużony rybak, z twarzą pokrytą zmarszkami i od słońca prawie czarną, pogodny zresztą i uśmiechnięty jak wszyscy mieszkańcy tego ustronia, przyglądał się Cieńskim z dziwnym wyrazem twarzy, w którym Wanda dopatrywała się—szyderstwa.

Może było to jedno ze złudzeń, jakim łatwo ulegają ludzie zdenerwowani; cokolwiekbądź Cieńscy tworzyli parę, która w doświadczonym rybaku łatwo mogła była obudzić zdziwienie. Czuła to dobrze Wanda, dziś zaś czuła lepiej, niż kiedykolwiek.

Nie! nie byli oni taką parą małżeńską, jak inne, a raczej byli taką, jak żadna inna. Wanda myślała o tem dużo w ostatnich dniach, i przyszła do wniosków, które ją zasmuciły.

Nie była ona nigdy i nie chciała być uczuciową. Tak zwane „serce" pełniło w niej zawsze rolę czynnika drugorzędnego. Jednak gdy porównywała to, co w teoryi znane jej było o miłości, z tem, co pod tem imieniem przyniosło jej życie, nie mogła oprzeć się uczuciu wielkiej goryczy.

— Jedno z dwojga — myślała.— Albo cały świat gra komedyę i nazywa szkło brylantem, albo też mnie jednej od losu zamiast brylanta, szkło się dostało.

Przechylała się naprzemian ku jednemu lub drugiemu przypuszczeniu. Pojęcie miłości było dla niej dotąd czemś niepochwytnem. Miała dopiero jej przeczucie. Ale nie chciała przyznać się do tego ani przed innymi, ani przed sobą.

Cieńskiego lubiła. Było jej z nim lepiej, niż bez niego. Rozumiała jednak, że ten stosunek nie jest niczem innem, jak koleżeństwem.

Wystarczało jej to zupełnie w Paryżu, wśród zwykłego biegu życia studenckiego. Ale tu, zdala od książek, starych profesorów i mozolnej, jednostajnej pracy, otworzyły jej się oczy na wiele rzeczy dawniej nie rozumianych. Odgadła, że w stosunku pomiędzy mężczyzną i kobietą, poza koleżeństwem i poza przyjaźnią, istnieje jeszcze coś stokroć gorętszego i stokroć słodszego...

Siliła się na wynalezienie wartości tego x; nie mogła jednak określić go inaczej, jak przez „miłość," to znaczy: przez drugą, niewiadomą.

Tyle widywała tu par młodszych i starszych, małżeńskich i niby-małżeńskich! Żadna nie była podobna do tej, którą tworzyła ona z Cieńskim. W oczach tych wszystkich kobiet i tych wszystkich mężczyzn, błyszczał jakiś szczególny ogień, którego nie miały oczy ani jej, ani jej męża. Czyżby posiadali oni jakiś rodzaj mądrości dla niej niedostępny?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z KONGRESU PRASY

w Rzymie.

Mimo usiłowań prasy włoskiej nadania kongresowi znaczenia pewnego, pomimo przytaczania treści mów wypowiedzianych, długiego opowiadania o króciutkich uchwałach powziętych w tem zgromadzeniu, pomimo przeplatania tych sprawozdań wzmiankami o festynach i wycieczkach, rzecz cała okazuje się bez treści, powagi, a nawet interesu jakiegokolwiek dla ogółu.

Co do uchwał, to w istocie niebogatym jest ich zbiór. Pierwszą z nich stanowić ma na przyszłość zaprowadzenie świadectw, mających stwierdzać identyczność osób należących do bractwa dziennikarskiego, w ich stosunkach międzynarodowych z całym światem przedstawianym na zjeździe. Świadectwo opatrzonem być ma w fotogram publicysty. Postanowiono także stworzyć urzędowy organ centralny, zostający pod zarządem rady dziennikarstwa europejskiego. Nakoniec paryzkie *Bureau central de la Presse* wzięło na siebie wyrobienie we wszystkich państwach zniżki stempla pocztowego dla wszelkich dzienników.

Oto wszystko. Jużcić jeśli idzie o poruszenie kilkuset ludzi z miejsc, jeśli się weźmie w rachunek koszta przejazdu, daleko znaczniejsze od nich nakłady na przyjęcia, festyny i wycieczki, a zestawi się je z tym konkretnym rezultatem, gra jak to mówią, nie okaże się wartą świeczki. Demonstratywna natura włochów bogata jest w środki inscenizacyjne, i zapewne łatwiej w tym kraju, niż w wielu innych o zrobienie tego, co się zwie utartym terminem: *wiele hałasu o nic*, ale jeśli idzie o możność reprodukowania odebranych z kongresu wrażeń, to ozdoby stylu nie wystarczają, aby po wielekroć powtarzane ogólniki nabrały pod piórem żywotności, a fałsz albo przesada wielkich słów przestała razić i budzić niechęć świadomszych moralnego wnętrza tego kalejdoskopu — nie powiemy dążeń i przekonań, ale tej mięszaniny środków i interesów. Bądźmy szczerzy i powiedzmy, kogo też z pomiędzy czytelników sprawozdania, albo kogo z uczestników kongresu, wzruszyć, a choćby zainteresować mogło inauguracyjne przemówienie syndyka Rzymu księcia Ruspoli?

Kto bez przykrego uczucia zawodu dosłuchać mógł do końca mowy prezydenta kongresu p. Wilhelma Singera? Mówiąc o dziele doprowadzenia do skutku tych peryodycznych zjazdów, których stworzenie nazywa śmiałem dosyć określeniem: zjednoczenia dziennikarzy całego świata, powraca on do tego ckliwego porównania, przypomina tę VI-tą potęgę globu, za którą się uważa prasa. Wyraża nadzieję, że między członkami tej korporacyi międzynarodowej, wytworzy się prawdziwe koleżeństwo, a polemika nawet w razie zaostrzenia sporów, nie przekroczy granicy dla form rycerskich przepisanej.

Kogo to ma ucieszyć, uspokoić, a choćby nawet w błąd wprowadzić chwilowo?

Naszem zdaniem niema takich naiwnych między intelligencyą wszystkich europejskich społeczności. Urok zdarty—nietykalność prasy zszarzana oddawna—dobrą wiarę ludzką zmogły przeniewierstwo i zła wola. Zamiast opowiadać ludziom bajeczki o szóstej potędze, stokroć lepiej i sumienniej było pogwarzyć na tym zjeździe o przywróceniu naprzykład utraconego kredytu, jeśli to jeszcze jest do osiągnięcia — nie tyle o naznaczeniu granicy i formy prowadzenia sporów a polemik, ile o moralności środków obowiązujących dziennikarza, o niepodległości opinii, o wyparciu się jednostek kalających prasę, o służalstwie wszelkiego rodzaju, które poniżyło zawód dziennikarski i oddało go na pogardę zarówno tych, których oczekiwania ono zawiodło, jak i tych, co się niem do swoich celów za miły grosz posługują.

Jakże to być może? Na palcach nieledwie zliczyłby w każdym narodzie jednostki nie przystępne przekupstwu prostemu albo pośredniemu — ten należy do prasy godzinowej tamtego przekupili Panamczycy, inni licytując się, zaofiarowują swoje pióra pieniężnikowi pierwszemu lepszemu, ów założył spekulacyę na skandal, jeszcze inni, a jest ich legion, to są tacy procederzyści, że gdybyś ich pozbawił możności prowadzenia szantażu, który im jest chlebem powszednim, jutro musieliby złożyć swoje kaszty drukarskie i oddać reporterów sądom poprawczym, do których z prawa oddawna należą. Ten intryguje, tamten wykrada tajemnice, ów spotwarza i bluźni, a wszyscy razem sprzedają, kupczą, szachrują i szyderczo urągają nielicznym wyjątkom, popchniętym w to targowisko siłą przekonań, i godną w istocie podziwienia, wiarą w ostateczny tryumf słuszności i prawdy na świecie.

O tem tedy zbiorowisku całem powiedzieć ryczałtowo, że jest jakąś tam VI-tą potęgą, jest to powtarzać prostą niedorzeczność, na przekorę prawdzie, tkwiącej w głębi sumień ludzkich, i na wstyd słońcu oświecejącemu to tragiczne gniazdo nieprawości kończącego się wieku. Wszak niema tak złej sprawy, do którejby w tej professyi nie nająć rzeczników—niema policzka, słuszności i historycznej prawdzie, którejby na hasło dane z góry, nie szczwało to uprawnione korsarstwo naszej cywilizacyi.

Ależ w takim razie, co sobie w istocie pozostawili panowie organizatorowie wycieczek i festynów—adwokaci umówionych kłamstw, które po sto razy powtarzane, mają się nakoniec w niezbitą prawdę zamienić—co zamierzają układacze toastów i mówek okolicznościowych?

Przecież chyba nie sprawy nauki chcą wziąść w opiekę, bo nauka i dziennikarstwo, to dwa słowa, które postawione obok siebie wyglądają dzisiaj na szyderstwo czyste.

Nie sztukę, bo i do tej nie starcza dziennikarstwu instrukcyi, chyba że sztuką nazwiecie reporterkę z wrażeń podkasanej muzy teatralnej i kunszt deprawowania dusz ludzkich wyziewami literatury pornograficznej.

Nie krytykę twórczości literackiej i artystycznej, bo wiadomo przecie, jaką i w tę także sferę wniosło dziennikarstwo złą wiarę i jak się w opinii zdyskredytowało już do tej pory.

Pozostaje część informacyjna, ale i w tej niezbędna jest pewna moralność, i tu potrzeba dać rękojmię—obudzić ufność. Tej ufności niema i daremnie łudziłaby się VI ta potęga, że jest tem, czem ją głoszono w epoce narodzin i rozwoju początkowego. Oportunizm zatruł te sfery doszczętnie i nie rozsiadać się im tryumfalnie, ale oczyszczać wewnętrznie, ale rehabilitować przed światem należy.

Musiał zresztą cały kongres rzymski pozostawić po sobie wrażenie czegoś nadzwyczajnie bezbarwnego, ckliwego, pozbawionego treści i znaczenia, skoro pochwalnych głosów szczędzą mu tym razem wszystkie poważniejsze organy europejskiej prasy.

Jeśli tedy nie powieje jakiś prąd nowy, jeśli nie odświeży się powietrze w tych zaduszonych warsztatach, produkujących na sprzedaż opinję publiczną, wolno jest spodziewać się, że zainteresowanie dla tych zjazdów dorocznych słabnąć będzie, a w końcu upadną chyba one zupełnie, bo przecież i uczty, i festyny, i retoryka unosząca się nad tą nicością, pociągać nie mogą ludzi w nieskończoność.

S.

Sprawozdania literackie.

Jan M. Robertson: Humaniści nowożytni, z ang. przełożył Jan Stecki.

Sześć odczytów wygłoszonych przez Robertsona w londyńskiem Towarzystwie etycznem p. t. „Nowoczesna krytyka życia" i wydanych następnie ze zmienioną nazwą „Humaniści nowożytni," przełożył na język polski J. Stecki.

Treścią każdego odczytu jest krytyka poglądów jednego ze znakomitych myślicieli angielskich XIX wieku. Autor mówi kolejno o Carlyle'u, Millu, Emersonie, Arnoldzie, Ruskinie i Spencerze. Tłómacz poprzedził każdy szkic krótką notatką biograficzną.

Dla naszego czytelnika, stojącego na poziomie intelligencyi wyższym nawet nieco, niż przeciętny, książka ta niezupełnie jest dostępną. Autor mówił do ludzi doskonale obeznanych z przedmiotem wykładu. Nie zadawał więc sobie trudu streszczania dzieł i przedstawiania poglądów omawianych pisarzy.

Przeważna zaś część czytelników polskich nie zna ani ich poglądów, ani ich dzieł (z wyjątkiem może spopularyzowanych bardzo „Bohaterów" Carlyle'a) nie jest w stanie ocenić siły ich oddziaływania na społeczeństwo angielskie, nie odczuwa atmosfery duchowej, która wytwarzać się musiała dokoła każdego z nich.

To też trudno im podążać za krytycznemi wywodami Robertsona, który w dodatku nie odznacza się bynajmniej jasnością układu, zwięzłością i przejrzystością stylu, tak właściwą uczonym pisarzom francuzkim.

Być może, że jest to w znacznej mierze wadą tłómaczenia. W przekładzie polskim spotykamy bowiem obok zdań nieznośnie zawiłych, także i niezrozumiałe zupełnie, czego w oryginale z pewnością się nie dopuszczono.

Przy sposobności pozwalamy sobie wyrazić żal, że przekłady, będące jedynym prawie zasiłkiem ubogiego naszego piśmiennictwa naukowego, nie są dokonywane z większym talentem i starannością.

Niepodobna nam przy największych nawet wysiłkach streścić w krótkiem sprawozdaniu bogatego materyału sześciu odczytów Robertsona. Niektóremi tylko uwagami będziemy mogli podzielić się z czytelnikiem.

Polaka, entuzyastę z urodzenia zadziwia przedewszystkiem brak kultu, który w tych studyach swoich okazuje anglik dla uznanych wielkości swego narodu. Analizując, badając, ważąc zdania i całe systemy tych kierowników myśli angielskiej, wydziela on każdemu z nich tak małą dozę uznania, że aż mimowoli nasuwa się pytanie, po co rozprawiać tak długo o reformatorach tak nieszczerych i tak egoistycznych, o myślicielach tak niekonsekwentnych, tak pełnych sprzeczności i błędów? A jednak ci ludzie — Robertson bynajmniej nie zaprzecza temu — wiedli lub wiodą społeczeństwo swoje, a poniekąd ludzkość szlakami postępu.

Oto np. zdanie jego o Carlyle'u: „Był to zarozumiały *poseur*, wstrętny egoista, nieumiejący czuć lub myśleć mocno i serdecznie poza obrębem właściwej czci bohaterów, poza przeczeniem czyjemuś innemu uczuciu lub działaniu. Walka Carlyle'a z obłudą ostatecznie sama była obłudą najczystszą," oznajmia w innem miejscu, idąc za zdaniem Lowell'a.

„Carlyle był nauczycielem nie władającym własną nawet nauką, był przez całe życie kaznodzieją pełnym sprzeczności, był głosicielem ewangelii zszytej z łat i skrawków" czytamy w innem miejscu. Gdy dodamy do tego, że był on według Robertsona wrzaskliwym deklamatorem, bardzo słabym w rozumowaniu, że skaził pojęcia etyczne, głosząc dogmat, że „siła stwarza prawo" i t. d. nie wyczerpiemy bynajmniej całego zasobu zarzutów, zdaje się najzupełniej słusznych. Jakież więc były zasługi tego męża zachęcającego do okrutnego obchodzenia się z przestępcami—w sprawie zniesienia niewolnictwa, trzymającego stronę południowych stanów Ameryki, wielbiciela Fryderyka II i t. d. Oto umiał ganić, potępiać i piętnować. Jaskra-

wymi i krańcowymi sądami, wypowiadanymi w sposób gorący; słowem potężnem, namiętnem, obrazowem, elektryzował uśpione, pogrążone w konwencyonalnych formułkach społeczeństwo angielskie, podniecał i wyzywał drzemiące sumienia ludzkie." „Jakkolwiek postępował Carlyle, głosił przecież szczerość, uczciwość i powagę we wszystkiem, a co się tyczy biegu życia narodowego, nastawał gwałtownie, na to, że pomyślność ogólna kwitnąć nie może tam, gdzie całemu przemysłowi przyświecają jedynie przypadkowe widoki współzawodniczących z sobą interesów osobistych."

Oto wszystko.

Co do Milla, tego *świętego racyonalisty*, jak zwał go Gladstone, Robertson kładzie silny nacisk na szlachetność jego charakteru, na jego „genialne poczucie słuszności," ale uważa go za umysł dosyć słaby, dający się uczuciu prowadzić na manowce, niekonsekwentny w swych dowodzeniach.

Studyum o Emersonie najmniej wyczerpujące nie daje nam dokładnego pojęcia o całości jego poglądów. Wogóle niewiadomo, czy pojęcie to zdobyć można, wobec tego, że Emerson był zdaniem autora najbardziej urywkowym, najmniej spójnym ze wszystkich myślicieli, mistyków i niemistyków. Oto urywek rozmowy, która toczyć się miała na odczycie Emersona o Platonie: „Czy nie mógłbyś pan powiedzieć mi, jaki związek ma ostatnie zdanie ze zdaniem poprzedniem, i jaki związek ma to wszystko z Platonem?" „Żadnego, mój przyjacielu, chyba w umyśle Boskim."

Mówiąc o Arnoldzie, wynosi Robertson jego zasługi literackie, nie rozwodząc się jednak nad niemi, ponieważ nie wchodzi to w zakres jego roztrząsań. Jako myśliciel był słabym, wywierał jednak dodatni, cywilizacyjny wpływ na społeczeństwo.

Nauka Ruskina—mówi Robertson — streszcza się doskonale w jego własnem, przedziwnem zdaniu: „Życie bez pracowitości jest zbrodnią, pracowitość bez sztuki jest zwierzęcością." „Kiedy duch nauki — powiada dalej autor studyum—zabierze się śmiało do zadań, podejmowanych dotychczas przez zapaleńców, proroków, gorliwców, wtedy okaże się, iż nikt z nich nie torował drogi potężniej od tego niesfornego geniusza o gromowych pociskach wymowy i wzgardy, o nieśmiertelnem ukochaniu lepszego życia." Pomimo to nie ocalał i Ruskin od zarzutów dziwactwa, egoizmu, sprzeczności z sobą samym i nielogiczności.

Najwięcej kultu posiada Robertson dla Herberta Spencera. Porównywając go z takimi myślicielami jak Carlyle, Emerson, Ruskin, którzy opierając się na sile chwilowego natchnienia, mając ku pomocy dar pięknego, wzruszającego słowa, dar chwytania i odtwarzania obrazów, olśniewają tłumy, zdobywają wielbicieli, powiada:

„Czyż tylko „oko odtwarzające obrazy" ma nakazywać dla siebie ciekawość i podziw? Wszak oto mamy oko pochłaniające kolejno w cierpliwym głodzie całe krainy wiedzy, całe królestwa przyrody i nietylko katalogujące ich zawartość, ale wypracowujące ich prawa, i z beznamiętną starannością zestawiające je w cały schemat wszechrzeczy. Energia pierwotna, straszliwa okresowość wszechświata, przemiany sił, przejście od tego, co zwiemy poprostu energią, do tego, co zwiemy specyalnie życiem, prawa jego, dalszy rozwój w świadomość, prawa jej od przejawów najprostszych aż do najbardziej złożonych, początki świadomej i na przepisach opartej moralności, powstanie religii, zasady spójności społecznej, powstawania i upadki społeczeństw — wszystko dostaje się zarówno do tej nienasyconej umysłowości, która usiłuje sobie wszystko przyswoić, nie biorąc z góry niczyjego rozumowania, jako prawdziwego, ale usiłując na każdym kroku odlewać je na nowo i oczyszczać, spajając wszelkie prawdy w nieprzerwany łańcuch konsekwentnej zgodności. Jakież to zadanie. Jakież to zadanie. Jakaż cierpliwość! Jaka potęga!"

Suchy Robertson staje się tu wymownym. Nie wdając się w ocenę „Filozofii syntetycznej" Spencera, jako dzieła nie nadającago się do pobieżnej analizy, odczytowej, zastanawia się autor nad jego „Wstępem do socyologii," i z poglądami jego na sprawy społeczne, staje często w niezgodzie. Zarzuca mu, że godzi się zbyt często z uznaną niesprawiedliwością społeczną, i że przenosi zbyt dosłownie prawa rządzące przyrodą w świat ludzki, błądząc podobnie jak Darwin. Obydwaj uczeni wykazali, że postęp ludzkości posuwał się naprzód, opierając się na prawie walki o byt, nie spostrzegli jednak, że chwila, w której ludzkość za ich pośrednictwem doszła do uświadomienia sobie tego prawa, jest punktem zwrotnym w dziejach i że odtąd warunkiem postępu będzie *walka przeciwko walce o byt.*

Tem pięknem zdaniem, tem piękniejszem, że opartem na rozumowaniu naukowem, którego nie mogliśmy przytoczyć tu w całości, zamykamy krótkie sprawozdanie nasze.

H. C.

Miliarderzy Amerykańscy.

Ekonomiści europejscy, którzy studyowali formowanie się własności indywidualnej w społecznościach naszych, muszą być niezmiernie zdziwieni, patrząc na stosowanie tego systemu w Nowym świecie i na wyniki, jakie on daje tam w rozroście swoim. Wielcy przemysłowcy, organizatorowie przedsiębiorstw, królowie banków, wszyscy ci posiłkują się jedną i tą samą metodą dla gromadzenia swoich bogactw niezmiernych—metodzie która w istocie swojej polega na obniżeniu chwilowem do minimum wartości pewnego produktu, a następnie na podniesieniu jego ceny do wysokości dowolnej z chwilą, w której produkcya tego artykułu przejdzie w ich ręce.

Jeśli w Europie powstało w ostatniej epoce kilka fortun olbrzymich, to nie dorównywają one w żadnym razie amerykańskim; niema ich też liczebnie tyle, co tam, a spekulacya na miedzi, której świadkami byliśmy przed laty kilkunastu, zaledwie porównaną być może do tego rodzaju operacyi prowadzonych w Ameryce.

Środkiem prowadzącym do takiego celu jest tak zwany syndykat. Jest to sprężyna wielkich zniszczeń pracy i wytwórczości ludzkiej ten syndykat-sprężyna tem groźniejsza dla ogółu, że działanie jej jest niezawodnem—niechybnem. Syndykat nazywany w Ameryce *Trust*, jest zawładnięciem przez jedne ręce nietylko produkcyi samej, ale i wszelkich tej produkcyi środków — jest to, żeby powiedzieć jasno i dobitnie, sprowadzenie do jednej kieszeni tych korzyści, jakie dzięki pracy i pomysłowości ludzkiej dawały dobrobyt setkom i tysiącom. Jednem słowem nic niesprawiedliwszego i nic mniej moralnego od tej operacyi.

A niema z tym potworem walki, niema przeciw niemu obrony, bo on wyrywa, miażdży, unosi jak potok rozszalały wszystko, co na swojej drodze spotyka. Klęski dotykają nietylko fabrykantów i producentów, rozciągają się one nawet na wielkie massy robotników, którzy tracąc prawo wolnej konkurencyi dla swojej pracy, oddani bywają wraz z dawnym swoim chlebodawcą na łaskę i niełaskę zwycięzcy. Obroną mogłoby tu być jedno tylko prawo, ale prawa odpowiedniego Ameryka nie posiada. Przypatrzmy się kilku wielkim fortunom Stanów Zjednoczonych i zastanówmy nad sposobami, jakimi one powstały.

Jednym z najgłośniejszych i zarazem najniebezpieczniejszym szkodnikiem takim, jest dzisiejszy tak zwany król naftowy Rockefeller. Jakimi fortelami rujnował on wszystkich właścicieli źródeł naftowych, wszystkich dystylatorów i przedsiębiorców w nafcianym przemyśle, za długo byłoby opowiadać tutaj. Wystarczy czytelnikom wiedzieć, że wmięszał się w to bezprawie w końcu i urząd prokuratorski, że wytoczono przeciw Rockefellerowi dochodzeń mnóstwo, ale się ostatecznie przekonywają ludzie, że na gruncie praw amerykańskich syndykat jest bezkarnym i niedosiężonym. Ma tam niby jeszcze i dziś jakieś kłopoty ten miliarder, okazały się i zamiary przekupienia urzędu prokuratorskiego przy pomocy dwóch milionów dolarów, niemniej twierdzi ogół, że czego nie dokazały dwa, to dokażą cztery miliony, a tymczasem rzucone w odmęt tej niegodziwości 100 milionów dolarów, przyniosły ich właścicielowi fantastyczną summę zysków, wynoszącą 140 milionów w czasie względnie niedługim.

Ciekawym jest także sam wzrost tego mienia. W 1855 roku posiadał Rockefeller całego majątku 5,000 dolarów — do 1870 pomnożył tę sumkę dziesięćkroć — w 5 lat potem posiadał już milion, i teraz zaczęło się dopiero tempo szybsze. W 1885 r. a zatem w dziesięć lat po zdobyciu tego magicznego miliona, zdobył ich 100, a obecnie liczą cały jego majątek, umieszczony w syndykacie naftowym na 256 milionów dolarów, niezależnie zupełnie od innych 200 milionów, na które składają się nieruchomości, banki, koleje i t. p.

Ale ten olbrzymi majątek nie stoi przecież bynajmniej w miejscu — owszem wzrost jego zadziwiający prawdziwie, teraz dopiero się rozpoczyna, i każdego ranka, dzięki temu jedynie, że przeżył noc ostatnią, budzi się Rockefeller bogatszym o 44,000 dolarów, niż był dnia poprzedniego. Jako właściciel całego naftowego przedsiębiorstwa na Stany Zjednoczone

posiada on 200 parowców, 70,000 wagonów, w jego rafineryach nafty pracuje 25,000 robotników — jest to zatem satrapa z władzą dyskrecyonalną w tej gałęzi produkcyi.

Zapewne ciekawi są czytelnicy poznać coś z moralnej fizyognomii człowieka, rozporządzającego takimi środkami—radby każdy dowiedzieć się, co on też zamierza, jak się zapatruje na swoje stanowisko — czy przypuszcza, że ciąży na nim jakiś obowiązek publiczny? O tem wszystkiem powie nam najlepiej fakt, w którym ten dziwny człowiek odbija się cały, o ile się wydaje.

Łatwo jest uwierzyć, że bądź co bądź miliony, a nawet miliardy, nie dają szczęścia, ani zaspokojenia. Człowiek zużywa się, męczy i nuży wszystkiem, a gromadzeniem podobno rychlej niż brakiem. Takim przedstawił się niespodzianie wszystkim, którzy go znali i Rockefeller. Ni ztąd, ni zowąd wygłosił on w pewnem zgromadzeniu, że najbiedniejszym z ludzi jest niewątpliwie ten, który nie posiada nic prócz pieniędzy. Gdyby zależał odemnie wybór losu, mówił z przekonaniem, wolałbym nic nie mieć, albo przynajmniej bardzo mało, a za to mieć pragnienie czegoś i cel życia.

Ten wstęp dawał w istocie wiele do myślenia, i dlatego obrzucono zaraz w klubie zapytaniami króla naftowego co do pogłoski, jaka się o nim rozeszła w ostatnich czasach. Wszak od paru tygodni szepcze pocichu New-York cały, że Rockefeller usuwa się od kierownictwa interesami, że szuka zastępcy, że przyobiecuje wielkie wynagrodzenie i t. d., i t. d.

Odpowiedź potwierdziła wszystkie domysły i przypuszczenia.

— Tak jest, szukam zastępcy — mówił nabab.—Wynagrodzenie daję w istocie znaczne, takie, które może pobudzić wszelką energię ludzką. 1,250,000 dolarów, to bardzo niezwyczajna pensya — wszak prawda? A jednak nie jestem pewny, czy znajdę człowieka odpowiedniego, pomimo, że kwalifikacye wymagane nie należą do nadzwyczajnych. Znać się na produkcyi nafty i na tajemnicach destylacyi — oto podstawa. Naturalnie trzeba coś wiedzieć o kolejach żelaznych, z metalurgii znać, na czem polega przemysł żelazny, i eksploatacya górnicza tego metalu — obowiązuje także znajomość oceny własności nieruchomej...

— I to już wszystko?—zapytał ktoś ze słuchających.

— Prawie wszystko... no jużciż bez gruntownej znajomości żeglugi parowej nie mógłby się obchodzić mój zastępca, tak samo, jak bez wiadomości o warunkach potrzebnych każdemu kierującemu interesami związanymi z eksploatacyą transportów morskich. Za to tajemnice banku mniej mu są potrzebne i wystarczyłoby, gdyby kandydatowi nie były te sprawy całkiem obce, ale znowu na palcach trzeba znać giełdę i handel waloram. No, jak panowie widzicie sami, nie potrzeba koniecznie wypić morza, żeby być moim alter-ego. O warunku głównym nie mówię, bo ten jest dla każdego domyślnym. Ja potrzebuję człowieka uczciwości tak wypróbowanej, żeby cień podejrzeń nie mógł paść na niego — cień tego, co ja nazywam skrupułem...

— Wytłómacz pan, co rozumiesz przez wyraz „skrupuły"—pytał ten, którego wszyscy zaczynali uważać za rzeczywistego kandydata do takiej milionowej pensyi.

— Owszem, objaśnię to zaraz—mówił Rockfeller powoli i z namysłem. Człowiek, któryby miał być tym drugim „ja," musiałaby to być indywidualność tak szlachetna, dla której sprawy moje byłyby tem samem, co jej własne—osobiste. Jednocześnie musiałby ten wybrany posiadać charakter nieugięty, a zimny—tak, iżby dla niego ruina i nędza tuzinów i setek chociażby przemysłowców, stojących w poprzek moim interesom, była rzeczą zupełnie obojętną. Człowiek mojego wyboru musiałby być wstrzemięźliwym, przedsiębiorczym, energicznym, a nadto jeszcze zuchwałym. Będzie znał ludzi i będzie głuchym na wzrastające przeciw sobie nienawiści. Musi umieć obcinać wynagrodzenia i podnosić ceny. Ani spoczynku, ani rozrywek — oprócz pracy nic, i to przez 360 kilka dni w roku. Jednem słowem ten, który będzie chciał zarabiać 1,250,000 dolarów rocznie, musi być tem samem, czem jestem ja. Co prawda ma czego strzedz ten mój ewentualny zastępca. Oprócz przedsiębiorstwa naftowego, na jego głowie będzie wiele mil drogi żelaznej. Gdyby to znaleźć feniksa, którego szukam, chętnie ofiarowałbym temu kto go wynajdzie 125,000 dolarów za pośrednictwo.

Milczenie było całą odpowiedzią na tę przemowę. Nie łatwo jest wogóle zadziwić Yankesów, tembardziej zadziwić pieniężników odwiedzających kluby piątej Alei, ale tym razem bezwzględność i egoizm podane były w takiej dozie, że ani na ofertę usług, ani na uwagę jakąkolwiek nikt się nie zdobył. Co bo odpowiedzieć w istocie człowiekowi, którego program stanowi rujnowanie pracy ludzkiej na własną korzyść? Europa ma w odpowiedzi swoje ustawy, swoje pojęcia zasadnicze o słuszności i swoją opinię, stawiającą poza społeczeństwem jednostki wyjątkowo niemoralne—Amerykanom, którzy mają u siebie szczątek instytucyi zwanej „prawem lynchu," nie pozostaje nic chyba oprócz tego edynego środka obrony.

Przejdźmy do naczelników innych syndykatów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z PRASY.

Wszystkie pisma codzienne, a za przykładem ich i tygodniowe, przytaczają i komentują drukowaną w „Tygodniu Piotrkowskim" korespondencyę p. K. długoletniego, jak zapewniają, sędziego gminnego. Postaramy się streścić, o co chodzi p. K. i o czem pragnie on przekonać czytelników swoich.

Statystyka wykazująca znaczną ilość przestępstw wśród ludu naszego, mogłaby, zdaniem korespondenta, budzić w nim wyższy stopień obawy o istotę moralności tych warstw, gdyby nie był na mocy doświadczenia przekonanym szczerze, że dzieje się to nietyle przez brak moralności samej, ile raczej dzięki ciemnocie ludu, a także jego nieznajomości przepisów prawa. Powiada naprzykład p. K. o rozpowszechnionem między ludnością wiejską mniemaniu, jakoby kradzież stanowiło jedynie przywłaszczenie sobie przedmiotów wyższej wartości, i w każdym razie z pod klucza. Włościanin nasz rozróżnia pojęcia takie jak *wziąść* i *ukraść*, przyczem stanowczo nie wydaje mu się przestępstwem przyswojenie sobie tego, co choć na cudzym gruncie, rośnie jednak z *Bożej Łaski*. Takie pojęcia zakorzenione w ludzie od wieków sprawiają, że często bardzo człowiek prosty przed sądem dopiero dowiaduje się o istocie tego, czego się w nieświadomości swojej dopuścił. Niezna on stopnia winy swojej, a tymczasem powiadają mu tam, że kara za kradzież wiązki koniczyny z dworskiego pola, albo łupki drzewa z żydowskiego lasu, jest ta sama zupełnie, co za kradzież wołu lub konia. Ma ta nieświadomość, tego zupełnie rodzaju wydawać następstwa, co nieznajomość prawa o ostrożnem obchodzeniu się z ogniem, o powolnej jeździe na mostach, i innych analogicznych. Receptą na te braki mają być: 1-o Popularne książki traktujące przepisy prawno-administracyjne, 2-o Wprowadzenie do szkół ludowych wykładów z dziedziny prawa, 3-o Obznajmianie ludu wogóle z tem, co mu jest wolno, a czego niewolno, a to za pośrednictwem ambony, zarówno jak przez zebrania gminne parę razy do roku zwoływane.

Tyle treści zawiera artykuł pomieszczony w „Tygodniu."

Ktoby nie wiedział, że jesteśmy bardzo uczuciowo w tej chwili nastrojeni w mieście względem ludu, że jesteśmy w sądach naszych o tym ludzie, jeśli nie stronni aż do zaślepienia, to przynajmniej optymistyczni aż do śmieszności, ten całą tę tiradę o tych nieświadomościach i tej niepoczytalności mógłby wziąść chyba za złośliwą bardzo mistyfikacyę dziennikarską.

Tymczasem niema tam ani odrobiny ironii, jest tylko najzupełniejsza nieznajomość człowieka prostego wogóle, a naszego wieśniaka w szczególności — jest fałszywe zupełnie pojęcie o stopniu jego umysłowego rozwoju, a przytem ignorowanie tradycyjnej moralności, którą posiadał w niedalekiej jeszcze przeszłości, a której poniechanie w chwili obecnej zaznacza właśnie statystyka takiem podniesieniem rubryki wykroczeń przeciw własności.

Nie trzeba z ludzi łatwowiernych żartować — lud ten, to nie żadni Papuasi, to jest naród, który przez długie szeregi pokoleń żył w nauce chrześcijańskiej, który zna istotę i ducha siódmego przykazania tak dobrze, jak i dziewięciu pozostałych, który jeśli miał zawsze, a dzisiaj więcej niż kiedykolwiek te dwa terminy na oznaczenie przywłaszczenia, mianowicie terminy: *wziąść* i *skraść*, to dlatego jedynie, żeby używał pierwszego, gdy szło o jego winę, a drugiego, gdy poszkodowanym czuje się sam.

Kto opowiada powieści arabskie o tem, że nasz lud rzecz istniejącą na cudzym gruncie uważa jako taką, którą prawo określa nazwą rzeczy niczyjej, ten ów lud zna tylko z tego, co mu o nim opowiadają książki i gazety. Ci co z naszym siermiężnym o miedzę sąsiadem

lata całe w długiem przeżyli obcowaniu, ci doskonale wiedzą, jakim on jest odnośnie do posiadania zdecydowanym indywidualistą—jak umie bronić swego kopca, swojej miedzy, swojej gruszy w polu, i z jaką zaciętą nienawiścią mści się za zrządzone mu szkody i krzywdy — nienawiścią, dochodzącą często do okrucieństwa. Że w praktyce narusza tak często prawo własności, to nie dlatego narusza je zwykle względem możniejszego, że mu się to wydaje moralniejszem, niż krzywdzenie równego siebie zamożnością, ale raz dlatego, że możny słabiej u nas broni swojej własności, a przedewszystkiem, z racyi, że ubogiemu nie można wziąść, a bogatemu można. Oto jest jego etyka w zapatrywaniach i sprężyna zarazem jego wykroczeń. Żadnej dobrej wiary niema w tem, gdy lud ten tłómacząc się ze spełnionej naprzykład w lesie kradzieży, jeszcze wczoraj, usprawiedliwiał się tem, że Pan Bóg dał las dla wszystkich, bo on tego lasu, gdy go dzisiaj dostanie na własność mórg parę, strzeże jak oka w głowie, i gotów za każdą ściętą sobie sosnę, zabić bodaj tego, który mu ją zabrał.

Dwóch miar niema w ludzkiem sumieniu, tylko jedna; gdy ktoś stosuje dwie, kłamie— tak jest we wszystkich podobnych wypadkach i tak jest w tem. A trzeba też wiedzieć i to, że lud ten ma wysoki stopień przebiegłości samorodnej—wielką w podobnych okazyach finezyę, i że znakomicie potrafi żartować z tych, którzy doń z czułostkowością śmieszną, a nie z życzliwością, ale i ze szczerem słowem prawdy na ustach przystępują. Prawda jest prawdą, i obowiązek obowiązkiem — po nad to, nic nam w tej pedagogii widzieć i niczem się powodować nie wolno—reszta to są sporty i zachcianki deklamatorskie tych, którzy tej warstwy nie znają, i którzy dla niej i z nią nigdy nic nie robili.

Bądźmy trzeźwi i róbmy obowiązek na trzeźwo, a nie będziemy żądali od prawa tego, co nam dać powinna moralność czysta, nie tam jakaś tuzinkowa moralność oparta na strachu i groźbie kary.

Przekonani jesteśmy, że niema tak zapadłego kąta w kraju, a w tym kącie tak tępej głowy chłopskiej, któraby się na gardło całe nie śmiała z podręcznika tłómaczącego, co wolno, a co niewolno. Takiego traktowania sprawy inaczej jak sportowem nazwać niewolno, a nam niestety trzeba duszą całą myśleć o poprawie tego, co jest — tego, co się zepsuło, obniżyło, i właśnie na tym a nie innym gruncie w danej kwestyi stanąć koniecznie.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

III.

Samko Ptak.

Legenda Słowacka.

(Dalszy ciąg).

Czarny dzień niedoli! Jak dla każdego, wzeszedł on też i dla biednego Samka. Miał podówczas może lat piętnaście. Razu jednego, pod wieczór, zjawili się znowu niespodzianie dzicy jacyś jeźdźcy w samotni leśnej nad rzeką i powiedzieli Samkowi, że nietylko on, ale i ten boży las, i to miłe, złote pole, ten biały dom, i wogóle wszystko, na czem tu oko spocząć może, należy pono do jakiegoś pana. Ten pan teraz osoby Samka potrzebuje, i Samko tedy pójść musi z nimi. Podczas tej rozmowy przybyło więcej jeźdźców. Gonili przed sobą, jak jakie stado, cały tłum powrozami ze sobą powiązanych ludzi, i strzelali z biczów nad ich głowami. Jeden z jeźdźców zlazł z konia i zbliżał się do Samka z więzami. Samko zdumiony wydał coś niby skwir orli i chwycił za siekierę do obrony, jakby przez wilki napadnięty, ale przemogli go łatwo z szyderczemi śmiechy, a gdy prababka klęła i złorzeczyła zbójcom, i szalona rozpaczą miotała się na nich, podpalili chałupę i rzucili staruszkę w płomienie, gdzie marnie zginęła, a z nią razem wszystkie jaskółki, gnieżdżące się pod drewnianym strzechy okapem, wszystkie turkawki, śmiejące się w sieni. Związany Samko patrzał skamieniały ze zgrozy na straszną tę scenę.

A na drugi dzień zaczęło się rąbanie lasów na zboczach, i Samko i ci powiązani ze sobą powrozami biedacy, musieli zwalać pnie starych jesionów i sosen, jodeł i dębów, tych omszonych kolumn zielonej świątyni, w której wyrósł. Ptaki pierzchały przestraszone z cienistych domów rodzinnych, które w proch padały, a przyjaciel ich, mniej szczęśliwy, musiał pomagać wlec zrąbane drzewa ku stromym stokom, po których się głęboko, głęboko w dół, na równinę staczały. Słyszał jęki tych odwiecznych boru olbrzymów, słyszał trzask i łamanie się ich gałęzi, słyszał dudnienie i łoskot ich aż do dołu, kędy dopadłszy, jak trupy nieruchomo leżały. Serce mu pękało. Patrzał za ptakami, pierzchającymi na najwyższe szczyty, na słoneczne gór wyniosłości, patrzał na popioły domu, wśród których bielał szkielet jego prababki, patrzał na stratowane pole, gdzie konie tych dzikich napastników się pasły, i w głowie jego była ciemność. Za co Bóg go tak karał?

Porywcy nie zostawili mu wiele czasu do rozmyślania. Pognali go razem z całem tem stadem ludu, trzaskając biczami. Dowiedział się wkrótce, do czego potrzebował go pan, którego był własnością. Budował ogromny, potężny gród warowny, zkąd groza miała padać na cały kraj okolony.

Pięć lat jęczał Samko w tej nędzy, przy budowie murów i łamaniu kamieni w łomach. Przez cały ten czas był jucznem bydlęciem. Siłę swą młodzieńczą, wiosnę swego żywota, wesele całe ziemskiego istnienia pochował w tych łomach, w tych murach i wałach. Pracował więcej niż wszyscy pozostali, bo nie umiał się bronić i właśni towarzysze dręczyli go tak samo, jak sami przez panów dręczeni byli, posługując się nim, i dodając mu jeszcze ze swej pracy. Do tego wszystkiego Samko był im wiecznym celem szyderstw i drwin. Nie umiał mówić płynnie, bo żył zawsze więcej w towarzystwie ptaków, niż ludzi, i każde jego westchnienie zmieniało się w smutny, cichy świegot drozda, który więcej echa u niemych, głazów, krwią rąk jego znaczonych, znajdował, niż w sercach ludzkich, zatwardziałych w niesprawiedliwości, skutkiem krzywd przecierpianych. Wołano nań urągliwie „Samko Ptak,“ a on imię to rad przyjął, bo w wiecznych marzeniach o szczęściu minionem wspominał stale i wiernie tych upierzonych druhów swego dzieciństwa wśród boru, i wspomnienie to krzepiło go tak, że nędzę teraźniejszości znosić zdołał. Oni, ci śpiewacy o słonecznych źrenicach, byli dotąd wolni i szczęśliwi? A kto wie, czy i on nie wróci do nich kiedyś?

Jakże wzruszający świegot przez sen niekiedy z ust mu wybiegał, gdy mu się zdawało, że ma skrzydła i leci ku niebu, ku słońcu, na te szczyty, gdzie orły się gnieżdżą i zkąd srebrne owe biją i spływają strumienie, z których kosy, drozdy i leśne piją gołębie! A gdy go budzono gburowatemi słowy i gnano do męczącej pracy, było mu przezwisko „Ptak“ jak gdyby słodką pociechą, jakby radosną obietnicą, wmięszaną w potok surowych, nieczułych dźwięków.

Tak upłynęło długich, cierpień pełnych pięć lat, i zamek był wybudowany. Co począć teraz z ludem, który go budował? Cóż innego, jak rozegnać go. Niech sobie szuka odległych miejscowości, kędy mógł z głodu umierać. Dzicy hajducy z długimi biczami uganiali tedy na rozszalałych koniach wśród tłumu, gromadzącego się pod grodem i czekającego rozkazów swego pana. Konie miażdżyły ludzi kopytami, a ciosy biczów dosięgały uciekających. Srogie jedno smagnięcie padło na twarz Samka i wyryło mu na niej krwawą pręgę, jako pamiątkę i piętno niewoli.

— Czemu ten człowiek mnie bije?—myślał Samko, wijąc się z bólu i ocierając krew i łzy.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Szkoły w Warszawie.

Dowiadujemy się z pism codziennych, że według danych urzędowych, Warszawa posiada w roku bieżącym 678 zakładów naukowych, podległych ministeryum oświaty, a w nich 31,129 uczniów i 10,863 uczennic—razem uczących się obojej płci 41,992 osób. Na utrzymanie tych zakładów asygnowano na rok 1899 ogółem 1,553,084 rs.—w tej summie z kasy państwa 737,719 rs.—z funduszów specyalnych tych szkół 602,316 rs. — z funduszów miejskich 179,090 rs.—z ofiar 33,946 rs. Uniwersytet warszawski liczył 1,176 studentów, instytut weterynaryjny 151—wszystkie średnie zakłady naukowe 7,503 uczących się, a w tej liczbie uczennic 3,132.

Sprostowanie.

Podana przez pisma codzienne wiadomość o darze złożonym na korzyść pracowników w zakładach przemysłowych Żyrardowskich przez głównego ich akcyonaryusza, okazała się niedokładną i nieco różniąca się co do wysokości samej ofiary. Obecnie p. Baeckman, zarządzający, przysyła gazetom wyjaśnienie, z którego bierzemy szczegóły najważniejsze:

Robotnicy zakładów Żyrardowskich otrzymali summę 34,234 rs., które rozdano stosownie do woli ofiarodawcy w sposób następujący: 341 robotników długoletnich dostali książeczek oszczędnościowych na kwotę rs. 50 każdy — rs. 17,050 przeznaczył p. D. dla dozorców i majstrów we wszystkich oddziałach — rs. 11,007 dla członków straży ogniowej—rs. 3,020 dla członków orkiestry fabrycznej—rs. 1,890 dla 5 wdów po robotnikach—dla różnych posługujących rs. 1,147.

Oprócz tego ofiarował p. Dietrich: na rzecz budowy nowego kościoła rs. 40,000—na gminę ewangelicką w Żyrardowie rs. 7,800 — na rzecz kolonii letnich w Warszawie 1,000 rs.—na osady poprawcze w Studzieńcu 1,000 rs.—na Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami 1,000 rs. — na szpital ewangelicki w Warszawie 1,000 rs.—na czytelnie polską i niemiecką w Żyrardowie 300 rs.

Niezależnie od ofiar powyższych, na utrzymanie ochrony dla dzieci w Żyrardowie 500,000 rs. — na wybudowanie i utrzymanie przytułku dla starych robotników i robotnic w Żyrardowie rs. 106,000, jak również dla tamtejszych chorych nieuleczalnych.

Urządzenie sypialni.

W małem czy dużem naszem mieszkanku, sypialny pokój zasługuje na szczególniejsze uwzględnienie. Wielkość, położenie, całe urządzenie, powinno być staranne, z pewną myślą przeprowadzone. Nie wspominając chorób różnych, człowiek tam przecież czwartą część życia przepędza! Światło, powietrze, promień słońca, jako najlepsi przyjaciele zdrowych i chorych, powinny najszerzej być uwzględnione. To też odpowiednio do tego całe umeblowanie stosować się powinno, więc wygodne, praktyczne, nawet i piękne, lecz nigdy zbytkowne. Z przyjemnością zaznaczyć tu wypada, iż przemysł zagraniczny, stara się dziś bardzo wszelkie nowe pomysły w urządzeniu mieszkań względnie do życzeń hygieny stosować, estetyka nic na tem nie traci; jest gust, wytwór, styl i harmonia. Za przemysłem zagranicznym pójdą i nasi panowie fabrykanci i będziemy mieli mieszkania nasze urządzone inaczej, wygodniej i rozumniej, niż dotąd.

W sypialnym pokoju główne miejsce zajmuje łóżko, ono więc z przepisami zdrowia powinno najpierw być w zgodzie. Dawniej, za starych czasów, za czasów prababek, szafy z wspaniałą bielizną w domu wyrabianą, były dumą gospodyń, tak samo i skrzynie z pościelą. Dziś inaczej się ludzie na to zapatrują. Od czasu, jak się przekonano, iż zarazki chorobotwórcze w piórach najdłużej i najtrwalej się konserwują, wszelkie pióra wyrzucono z sypialnych pokoi, tak samo jak wypowiadają obecnie wojnę i drewnianym łóżkom także.

Oto jaki podaje model jedna z wielkich zagranicznych fabryk. Duży, jasny pokój, malowany olejno, w jasno-zielonym kolorze. Łóżko z metalowych, mosiężnych prętów lub sztabek, na kółeczkach, by się łatwiej przesuwać dało — spody przejrzyste siatkowe. Włosienne materace, kliny i poduszki takież. Kołdra z skubanej wełny, waty, lub lekkiego puchu — ot i wszystko. Hygiena nie wyklucza ani cienkich płócien, ani jedwabi i koronek, wogóle stara się o ile można z elegancyą być w zgodzie, jeżeli środki na to zezwalają.

W pokoju zielonym, poduszki i kołdra jedwabne, były w kolorze fraise, a wszystko pokryte koronkami z iryjskich points. Baldachim nad łóżkiem był z blado-rezedowego, pół-jedwabnego atłasu, pokryty także tiulem białym, wyszytym kremową tasiemką point-lace. Takie same na zielonym podkładzie były firanki u okien. Wszystkie inne meble znajdujące się w sypialni, jak: nocne stoliczki przy łóżku, szafa, były z ciemno-czerwonego mahoniu; zyskał na tem wygląd całego pokoju, trzymany w jasnym matowym odcieniu.

W tym samym pokoju na uwagę zasługiwała dekoracya okien. Zielone, pokryte tiulem, jak i baldachim, firanki, opadały od sufitu, ujęte w skromne fałdy. Na szybach, łatwe do rozsuwania, wisiały zasłony z atłasu ivoire z wstawkami koronkowemi.

Story zasłaniające okno przed ciekawemi spojrzeniami sąsiadów, z żółtawego grochowego tiulu, miały aplikacye batystowe.

Ponieważ powietrze czyste jest głównym warunkiem zdrowia w sypialni, zatem nie powinny się znajdować tam żadne części garderoby noszonej, obuwie, nieczysta bielizna, stare, przenoszone suknie — wszystko to wynosić się powinno do łazienki, na boczny korytarz lub na strych. Są jednak czasem rzeczy niezbędne, które pod ręką mieć się powinno, jakieś cieplejsze ubranie spodnie, chusteczki wełniane, matinki, bluzki — na to przeznaczone były w opisanym pokoju kufry ze zwyczajnego drzewa, obite jasno-zielonem suknem pięknie złotem przetykaną tasiemeczką przybrane; kufry takie stawiają się w nogach łóżka i są nietylko wygodą ale i ozdobą pokoju.

Mówiąc o pokoju sypialnym tyle, dodać tu jeszcze muszę, że dzięki zwróceniu dziś uwagę w mieszkaniach na światło i powietrze świeże, przybranie okien zupełnej uległo zmianie. Ciężkie draperye, zasłaniające do połowy okna, znikają, a w modę wchodzą lekkie, przezroczyste, jasne tkaniny. Wszelkie tiule powróciły do dawnego znaczenia, mianowicie grochowy, jako najtrwalszy; bogate hafty ręczne lub maszynowe zdobią brzegi i tło; widzimy kontury otoczone dosyć grubym sznureczkiem, czasem dekoracyę stanowi biała pasmanterya lub przeciwnie delikatny haft tasiemką point-lace wykonany.

Gdzie zaś uważają za niezbędne przybranie firanek draperyami odpowiedniemi umeblowaniu całemu, dają się dziś daleko skromniejsze np. skrzydła nie przechodzą jedne na drugie, nie zaciemniając pokoi. Jako podpięcie do przytrzymania firanek używają repsowej wstążki, zaopatrzonej w mechaniczne zameczki.

Zamiast rolet zapowiadają story z pąsowego bawełnianego muszlinu, marszczone w podłużne bufy, kończące się w dole długą frenzlą. Refleks pąsowy ożywia pokój i przyjemnie tłumi zbyt ostry blask słońca latem.

Złożono na sanatoryum

dla suchotników:

Od W-nych Płotnickich kop. 50

Wskazówki i rady.

Liście winogronowe zamiast sałaty do zwierzyny.

Świeże wybierając, o ile możności jasno-zielone liście winogronowe, obetrzeć suchą lub lekko zwilżoną serwetą, zwinąć luźno i związać każdy cienką bawełną, kilkakrotnie obwijając. Wrzucić na gotujące się masło, w którem nie dłużej jak trzy minuty podług zegarka trzymać, wyjąć widelcem na bibułę żeby tłustość osiąkła, zdjąć nożem nitkę i podać do zwierzyny, smażonych nóżek cielęcych, lub tym podobnych. Powinny być chrupiące.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Pończochy i skarpetki czarne i kolorowe.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynki, Batysty, Zefiry, Kretony, Dryliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne.

Firanki.—Dywany.—Portyery.—Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Próby i cenniki odwrotną pocztą, franco. 41

Pończochy i skarpetki czarne i kolorowe.

Fabryka Parasoli i Tokarstwa

H. KIEFFER i S-ka 33

w Warszawie, Bielańska Nr. 4, drugi dom od Senatorskiej

Poleca wybór parasolek i parasoli. Wykonywa obstalunki, pokrycia i reperacye.

BIURO NAUCZYCIELSKIE!

BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ

Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. ***Rekomenduje*** nauczycieli, nauczycielki bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyzka 44.** 963—25—16

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

N. TISSERANT

MISTRZYNI CECHOWEJ

Marszałkowska Nr. 51.

Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"** Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć. 14

Istniejący rok setny dwudziesty szósty.

Dziennik Polityczno-Społeczno-Literacki.

„Gazeta Warszawska"

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.:

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy"

Jedyny większy dziennik, wychodzący codziennie z rana i wysyłany na pocztę przed południem

jest więc pismem najwcześniej dochodzącem na prowincyę i z wielkich gazet warszawskich najtańszem.

W ciągu kwartału II r. b. będzie drukowała najnowszą powieść historyczną **Michała Synoradzkiego**, p. t.

Słońca Jagielonów

Warunki prenumeraty „Gazety Warszawskiej"

W Warszawie: rocznie **9** rubli, półrocznie rs. **4** kop. **50**, kwartalnie rs. **2** kop. **25**, miesięcznie kop. **75**. Za odnoszenie do domu **5** kop. miesięcznie.

Na poczcie: rocznie rs. **12**, półrocznie rs. **6**, kwartalnie rs. **3** — łącznie z przesyłką pocztową.

Za wiersz ogłoszenia petitem lub jego miejsce **8** kopiejek. Wiersz reklamy na 1-ej stronie **20** kop.

ADRES: **Redakcya „Gazety Warszawskiej"**

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT № 34.

Redaktor i Wydawca ***St. Lesznowski.***

30 W ciągu roku wychodzi 353 razy.

Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.

NOWO-OTWORZONY

Skład Kapeluszy Słomkowych

z Fabryki „Pary" hr. Łubieńskiego i Szwedego, przyjmuje hurtowe obstalunki na kapelusze słomkowe t. zw. szwajcarskie i z plecionek w różnych fasonach. Tamże wyłączna sprzedaż mebli ogrodowych z Fabryki Schlossbergskiej. 23

Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.

Nowootworzony skład dywanów ***ul. Erywańska 14.***

p. fir. K. Kruszyński i L. Miciński

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-20

A La Parisienne

Szkoła Kroju i Szycia

oraz

Pracownia Sukien

EMILII EHRENKREUTZ

uczennicy Wortha, mistrzyni cechu, z dyplomem paryzkim. Nagrodzona **Medalem** na konkursie krawców w Paryżu za **Krój** bez poprawek i naukę szycia najpraktyczniejszą.

Warszawa, Chmielna 24, pomiędzy Bracką a Marszałkowską.

929—26—20

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI

dawniej

M. SZYMAŃSKI

Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych

w Warszawie, Senatorska № 10

poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-22

Władysław Popiel

Jubiler. Egzystuje od 1858 r.

Warszawa, Senatorska Nr. 6

Poleca wielki wybór biżuteryi gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-12

Skład towarów Żelaznych i Naczyń kuchennych **I. WEISSMANN**

938-25-19 **Warszawa Graniczna 8.**

WYŚMIENITE i udelikatniające

MYDŁO TATRZAŃSKIE

WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ

WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO

Z ZAPACHAMI

Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży

Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.

Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.

32

Oryginalne Maszyny do szycia



marki **„The Berg Machine"** uznane za najlepsze, za gotówkę i na rozpłaty. 985B-26-16

JULJAN BERG,

Mazowiecka 16.



APTEKA K. WENDY

45. Krakowskie Przedmieście 45.

36 **w Warszawie.**

Wszelkie nowe środki lekarskie

Wina lecznicze,

Wody mineralne.

Дозволено Цензурою Варшава, 13 Апрѣля 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Z początku myślał, że Kazimierz będzie miał pociąg do polowania. Na domysł ten wprowadził go nieznany dotąd zwyczaj Poraja, zabawiania się każdego poranku strzałami z pistoletu. Grzegorz nikomu nie dozwalał dotykać się pańskiej broni; sam opatrywał ją, czyścił, lał kule, nabijał, urządzał tarczę, stawiał cele.

W pierwszych dniach kule rzadko chodziły po woli strzelca, wkrótce jednak, dzięki codziennym ćwiczeniom, Kazimierz nabierał trafności, aż nareszcie tak dalece wprawił oko i rękę, że niemal o zakład, na nożu rozcinał ołowiany pocisk, lub urywał jajko zawieszone na nitce.

Za każdym z podobnych strzałów, starzec wybuchał śmiechem, patrzył w oczy panu i szukał w nich zadowolenia. Napróżno! — oblicze młodzieńca surowszy jeszcze przybierało wyraz, nie rozweselały go dowody własnej zręczności; często zakładał ręce, wpatrywał się w uwięzłych na sobie kilka kul; ścigał dalekie jakieś myśli, jak gdyby marzył o innych celach dla strzału.

Grzegorz gubił się w domysłach; tymczasem, sprzątając pistolety, napomykał, że knieje pańskich lasów pełne zwierzyny. że biegły myśliwy znalazłby w nich wielką uciechę, że nieźle byłoby może odłożyć pistolety dla strzelby, wprawić się nieco do strzałów w bieg i w lot.

Kazimierz potakiwał z tęsknym uśmiechem, ale o strzelbę nigdy nie pytał; do gołębia, do wróbla, nigdy się nie zmierzał — oczywiście, nie miał w łowach żadnego upodobania.

Grzegorz nie pojmował trybu życia stosowniejszego dla mnicha, dla pustelnika, niż dla młodego i bogatego pana. W dalsze atoli wywody i wnioski nie było czasu się zapuszczać, Poraj bowiem, wystrzeliwszy ostatnią kulę, wracał zwykle do swego pokoju.

Tam, dla nikogo nie przystępny, rozkładał przed sobą książki, mappy, astrolaby, szklanne i mosiężne narzędzia, papiery pisane — tonął w niezgłębionych falach nauki, uganiał się za wiedzą, taranem woli i umysłu tłukł o zawarte tajemnicą podwoje natury; stracony i oderwany od świata, znajdował sam siebie w bezmiarach historyi — w nieskończonościach porządku wszechstworzenia.

Częściej jednak odkładał te zajęcia na uroczyste cisze nocy, dniem zaś wołał o konia, dosiadał dzielnego a milczącego druha, szybko mijał wiejskie zabudowania i ludzi, mknął w pole, do lasu, na góry siniejące w oddali; ginął bez śladu.

Rzadko spotykali go robotnicy na łanie, podróżni na gościńcu, pastusze chłopcy na łąkach; Kazimierz stronił od miejsc uczęszczanych, szukał odludnych uroczysk; oddychał gdy był sam, gdy prócz siebie w okół widnokręgu nie spostrzegał nikogo Zdawało się mu, że krom samotności, wszystkiego już w życiu doznał do zbytku — do uprzykrzenia.

Raziło go słońce, którego zawsze jednakowy blask obojętnie świecił na tyle smutków, niewoli i boleści; rzucał miejsca otwarte, zapuszczał się w ciemne lasy, a gdy spokój ciszy ukoił mu nieco serce, gdy z życiem chciał zawrzeć sojusz i ludzkiej twarzy zapragnął, skręcał parowem ku górom, tam, gdzie do gęstwin starego boru tuliła się chata rówienniczego spróchniałym jodłom Macieja leśnika.

Był to ostatni punkt przedgórza dostępny dla jezdnych; Kazimierz często, gdy szedł piąć się na góry, konia tam zostawiał u chaty. Tajemnica mało znajomych ścieżek i gęstwie posępnego liścia kryły ustronie przed tłumem; zabłąkany drwal lub myśliwiec wprzód stawał na progu, nim dosłyszał głos ludzki, albo szczekanie psa, strzech wiejskich strażnika.

Stary Maciej i mało co młodsza od niego kobieta, pokątnie dopływali brzegu życia; on zniechęcony do ludzi i zawzięty na świat, ona, potulne odbicie mężowych usposobień, przyzwyczajona zawsze i wszędzie, myślą i uczynkiem jak cień kroczyć w jego ślady.

Kazimierz za objęciem majątku, chciał polepszyć położenie starca, zbliżyć go do ludzi, uwygodnić mu byt. Maciej odmówił.

Między ludźmi, na łaskawym chlebie byłby musiał rozstać się ze starą przyjaciółką strzelbą, sznurkiem owiązaną—w lesie, lubo dla przygasłego wzroku zwierzynie niezbyt srogo dawał się we znaki, bez strzelby dla samej przyzwoitości, nie mógł wychodzić.

Został więc w lesie i dla honoru przyjął tytuł leśnika, po prawdzie bowiem nie było czego pilnować; włościanie Kazimierza pod dostatkiem mieli budulcu i opału, cudzy zaś kradzieżnik nigdy tak daleko się nie zapuszczał.

Od młodych lat sędziwe małżeństwo wiodło byt wedwójny, porami roku jedynie znaczony; od mnogich lat, półgłosem szeptany pacierz lub krótkie pytania męża, krótsze odpowiedzi żony przerywały tylko milczenie, gdy wkrótce, po osiedleniu się w ojcowiznie młodego pana, podobnie jak we dworze, w chacie starego leśnika przybyło także mieszkańców.

W pierwszych dniach pobytu Kazimierza na wsi, szelest liści, szmer daleki spłoszonej zwierzyny, drażniły mu ciszę, ilekroć szedł błądzić w te strony; teraz — inny, głębszy odgłos go dochodził.

Lepiona ściana, bywało, nie przeświecała jeszcze z gęstwiny, a już nadstawiał ucha, już dosłuchiwał dziwacznych dźwięków ludzkiego głosu.

Był to czasami straszny a mglisto znajomy nam niegdyś śmiech, czasami tęskna nuta grobowej jakiejś piosenki, szarpana wartkiemi słowy, łkaniami i znowu tymże przerażającym śmiechem.

Czyjże głos, czyja piosenka, czyj śmiech kąsały mu tak serce, że zanim odważył się wkroczyć do chaty, w zastanowieniu długie nieraz trawił chwile, jak gdyby siły w siebie garnął i oddechu nabierał—jak gdyby przewidywał, że przyjdzie mu spotkać się z niezwykłą boleścią?

Dla rozwikłania zagadki musimy cofnąć się wstecz o dwa blisko roki.

Przed dwoma niespełna laty, tego samego dnia może, gdy sentymentalna hrabianka po przysięgała wieczną miłość Szambelanowi, Kazimierz od kilku tygodni osiadły na wsi, wtajemniczał się właśnie w to życie natury, które później miało stać się głównem tłem jego rozmyślań, jedyną samotności jego pociechą.

Łatwo wnosić, że dzicz gór przedewszystkiem wpadła mu do smaku; okolica, której niewinnym dozorem trudnił się stary leśnik, była pierwszym celem jego wycieczek.

Pewnego dnia, ku zachodowi słońca, po całodziennej wędrówce, Kazimierz opuścił cugle i wolnym krokiem powracał do domu. Obłędnie zapatrzony przed siebie, myślą mniej jeszcze kierował niż koniem; ścigał grę purpurowych promieni pozaczepianych o wierzchołki drzew, rozbryzganych o drżące liście, przedzierających się upornie przez najdrobniejsze szczeliny gęstych zarośli.

Złote błyski swawolnie ślizgały po lśniących szlakach zieleni; gdziekolwiek zakradał się poświętny promień, wnet wszystko ożywiał, weselił, uprzezroczystniał. Spłoszony cień ze wstydem padał na ziemię, krył się po niedocieczonych zakątkach, noc przyzywał na odsiecz.

Światło, dusza wszechstworzenia, źródło miłości i siły, bez gniewu, z różanym uśmiechem żegnało przeciwnika, z ostatnich krańców widnokręgu śląc mu blednące spojrzenia. Czoło słoneczne krwawo zarumienione, już zaczynało tonąć w bezmiarze, już zwolna zapadało i tęczując piersi obłokom, z rubina przelewało się w opal. Zaczem i szafir niebieskich stropów zapłynął w perłę i szare wieczorne muśliny uroczyście zachodziły na błękit, i ziemia zalotnie owiewała się tą przejrzystą tkanką półświatła, półcienia, która rażący blask jej wdzięków zastępuje stokroć wabniejszemi ponęty; wykradłszy się z zazdrosnych objęć słońca, oddychała wieczornym chłodem, ziono w powietrze tysiączne kwiatów swoich i roślin balsamy.

Kazimierz w zupełnem o sobie zapomnieniu lubował się uroczą rozpustą barw, zaprzepaszczał w nieskończonej ciszy burzę swojego serca, słodko zatracał pamięć własnego bytu, gdy w tem koń jego — zwierzę wtajemniczone w pańskie usposobienia — uciął nagle

kroku, parsknął, zastrzygł uszami i w bok uskoczył.

Jeździec ocknął się z zadumy, uchwycił cugle, powiódł wzrokiem do koła, szukając przyczyny przestrachu swego towarzysza.

Koń stał jak wryty; ostrogi nawet nie słuchał.

Kazimierz przez chwilę nic nie spostrzegał przed sobą; obejrzał się, zaszperał oczyma.

Tuż za nim, w bok ścieżki, na ciemnem tle wrzosów i skupionej leszczyny, bielał kształt ludzki, nieruchomy — że ludzki, można było rozeznać po zmarszczonych tu i owdzie fałdach białej odzieży.

Biedny jakiś wędrowiec — potrzebował zapewne pomocy, wycieńczon na siłach, ze znużenia, a może i z głodu.

Poraj żywo zeskoczył z siodła, odgarnął gałęzie krzewu, postąpił.

Była to wiejska dziewczyna, jak się pokazywało ze stroju.

Ze splecionemi w okół głowy ramiony, z twarzą między wrzosy wciśniętą, pół lica tylko odsłaniała, ale w pół ukradziony ten widok nic przerażeniu nie odejmował.

Brak życia widocznie skurczał postać biednej pątnicy; kibić łamała się w niekształtne linje przedzgonnych wyprężeń; błękitne usta, trupia bladość oblicza, zapadłe jagody, rysy ścięte głęboką boleścią, wydartą jak się zdawało z ostatnich tajni ubiegłego ducha, konwulsyjnie zaciśnięte dłonie — wszystko świadczyło, że łup ten, po upornych dopiero walkach dostał się zatracie.

Byłaż to ostateczna wygrana śmierci, lub tylko chwilowe, w głębiach organów, zatrzymanie życia utajonego ze zgrozy i bojaźni dalszych przebojów z losem?...

Kazimierz pochylił się, przykląkł, położył dziewczęciu rękę na sercu, ujął ją za dłoń, łagodnie sprobował rozczepić zaciśnięte jej palce.

Niespokojny o rozwiązanie zagadki, utkwił wzrok badawczej troskliwości w upiorne oblicze, którego wyraz ogarniał go coraz silniejszem, a niewytłumaczonem współczuciem.

Długo wodził oczyma, wysłuchiwał oddechu, szukał obiegu krwi pod skrzepłych żył powłoką—nadaremnie.

Przez wszystkie Boże potęgi!... dziewczyna nie mogła umrzeć; na bladych jej skroniach przeświecał tu i owdzie odblask niepewnego rumieńca — poszlaka życia, czy gra zwodnicza krwawo przez liście zachodzących słonecznych promieni?

Poraj okrążył ramieniem kibić wędrownicy, podniósł ją, wsparł na swych piersiach; tulił ucho do jej serca; z zapadłych powiek nie opuszczał wzroku.

Księżyc wypływał z za gór, zapędzał pod widnokrąg blade wspomnienia zaszłego słońca; Porajowi zdało się, że uczuł w objęciach lekkie drżenie, że zacięte dotąd usta dziewczyny tchnęły niedoścignionym prawie oddechem.

Na Boga żywego!.. nie złudzenie to było — istna rzeczywistość; łono jej zwolna się podniosło, serce zakołatało pod łagodnie przytuloną wybawcy dłonią.

Pogląd ten wywołał w nim zadziwiającą uwagę; młodzieniec roztworzył oczy szeroko, zapomniał wrzekomo na chwilę o głównym celu swych starań, utopił całą uwagę w tajemniczym powodzie swego zdumienia.

Strój wiejski, głowa owiązana wypłowiałą pospolitą chuściną, na szyi proste czarne jakieś korale z uwiązanym na końcu starym szkaplerzem, do pół ciała wytarty kaftanik z błękitnego niegdyś sukna — wszystko zdawało się oznaczać biedną dziewczynę z pod strzechy, a jednak... dziwna! dziwna!... z rękawa grubej płóciennej koszuli wyglądała wytwornych kształtów rączka, blada wprawdzie, lekko pomarmurowana żyłkami cierpienia, ale tak drobno wysmukła, tak miękko przezroczysta, że nie jedna księżniczka radaby widzieć podobną na końcu swego ramienia.

Poraj gubił się w domysłach i jak chiromanta, z rysów dłoni wysrebrzonych blaskiem księżyca usiłował odgadnąć przeszłość, gdy tym razem uczuł silniejszy ruch ramienia, które rozkurczało się z bólu, prężyło niby z grobu do życia, zwolna zaczynało ogrzewać pod nabiegiem krwi.

Na Boga!... o ratunek, o śmierć lub o życie chodziło, nie o zaspokojenie próżnej ciekawości!...

Kazimierz zgrozą zdjęty przeciw samemu sobie, obejrzał się do koła, jak gdyby szukał pomocy—wiatr nawet nie przerywał ciszy—śladu człowieka ani dojrzeć, ani dosłyszeć — rzucił w niebo wzrokiem bezsilnej rozpaczy, i wkrótce uderzony nagłą, ostateczną myślą, porwał omdlałą jak uśpione dziecię na ręce, i znajomymi wyłomy przedzierał się co chyżej ku chacie leśnika.

Starzec i żona jego Agnieszka, siedzieli na przyzbie; kobieta półgłosem szemrała wieczorne modlitwy; leśnik codziennym zwyczajem opatrywał strzelbę — przeciw nocnym złodziejom — Boże od nich uchowaj!

Trzask gałęzi, szelest zeschłych, gwałtownie tratowanych liści wyrwał oboje ze spokoju przedsennych zatrudnień.

Agnieszka żywo powstała, wskazując w milczeniu mężowi stronę, zkąd łoskot dochodził; Maciej pochwycił strzelbę, nie bacząc, że zamek staroświeckiej broni tylko co odczyszczony, o kilka kroków leżał na ławie — wymierzył ku nieprzyjacielowi bezbronną lufę.

Ale znajomy głos całą piersią wołał na nich po imieniu, i zaledwie leśnik miał czas ochłonąć z pierwszych wrażeń, już Poraj stał przed nim, już składał ciężar swój na ławie i gromko domagał się zaradczych środków.

Starzy zakrzątnęli się co tchu; przyniesiono octu, wódki i wody ze zdroju; Agnieszka wynalazła nawet kilka kropel wina troskliwie pielęgnowanego w zielonawej, kręconej flaszce; w mgnieniu oka wszystko troje jak Bóg natchnął, wzięli się do ratowania rozniemogłej sieroty.

Bóg snać zsyłał im szczęśliwe natchnienia; nie wyszło pół godziny, a chora choć drżąca jeszcze, rozchwiana, siedziała już o własnych siłach.

Ujęli ją pod ramiona, wprowadzili do chaty, położyli wedle pieca na tapczanie starej Agnieszki.

Dziewczyna usiadła zwinięta w kłębek, wsparła głowę na podniesionych kolanach, twarz między dłonie ukryła. Kilka rozjękłych westchnień wydarło się z jej piersi, kilka spazmowych łkań boleśnie drasnęło obecnych i znowu cisza — widać tylko było po niesfornych ruchach głowy, że ból przesilał się w rzewny, nieutulony płacz.

Po chwili, nieboga odrzuciła się na wznak, wsparła na jednej dłoni, drugą z czoła i ze skroni odgarnęła rozploty płowych włosów i błędnym wzrokiem zatoczyła do koła.

Czerwonawe światło zażegniętego łuczywa migotliwym błyskiem oświeciło blade oblicze wieśniaczki, dyamentowemi iskry odbiło się w łzawych jej oczach.

Zaprawdę — w powróconej do życia, sam Wilczek z trudnością byłby poznał Nastusię.

Nie straciła czasu biedaczka; w kilku dniach strasznie się zmieniła.

Sędziwe małżeństwo stało w głębi izby czekając nieruchomie na wolę pana lub zaszczyconej jego opieką dziewczki; Poraj siadł u głów jej na zydlu, i z niecierpliwością oczekiwał pierwszego słowa.

Łuczywo płonęło dymno, smutnie, krwawo.

Nastusia dygotała od zimna, od strachu także zapewne; gorączka trzęsła nią bez miłosierdzia.

Kazimierz nasunął na nią płachtę, wziął ją za rękę, zapytał łagodnym głosem czyli czego nie potrzebuje.

Nastusia go nie słyszała.

Powtórzył zapytanie.

Obróciła ku niemu twarz, zwolna wysuwała mu dłoń z ręki, topiła w nim wzrok... Chryste Panie, jaki dziwny wzrok!... Agnieszka przeżegnała się ukradkiem, leśnik mimowolnie o krok naprzód postąpił; Kazimierzowi mróz przebiegł po żyłach — takiego wzroku w życiu jeszcze nie widział!

Wielkie błękitne oczy w głąb czaszki zapadłe, to słupem stawały, wyrażając niby uczucie śmiertelnej trwogi, to z niesłychaną szybkością biegały do koła niby jaskółki przed burzą. Snać pojętna wola, rozum, całkiem straciły nad niemi kierunek; boleść tylko i ślady niedomarłej pamięci iskrzyły się w rozwartych źrenicach.

Tegoż samego dnia w którym się dowiedziała o śmierci matki ku południowi, wycieńczona z ostatka sił, znękana cierpieniem, zatoczyła się w lesie i padła prawie bez duszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TOWARZYSTWO AKCYJNE

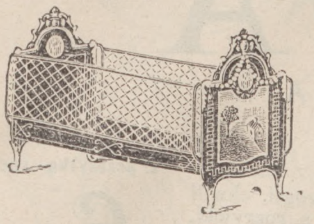
WŁ. GOSTYŃSKI i S-KA

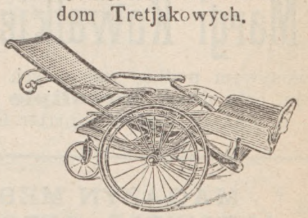
Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81 w Moskwie: Rożdiestwienska dom Tretjakowych.





POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne;** Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna, drzwi, bramy, kraty, balkony,** schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne,** drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN I ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 901—24—24

Filje: w Łodzi, Piotrkowska 81; w Moskwie, Rożdiestwienka dom Tretjakowych; w Kijowie, I. Kühmaer, Fabryka i Skład Mebli, dom własny; Petersburg, Newski Prospekt N-r 42, dom Armiańskiej cerkwi, vis a vis Gościnnego dworu.

Dr. A. BUCKIEWICZ

Wilcza Nr. 28.

Choroby **wewnętrzne** (zwłaszcza „reumatyzmy" i nerki) oraz skórne (zależne od wewnętrznych, np. plamy, wilki, skrofuły, liszaje, etc.) tudzież skrofuły oczu.

Krom poniedziałków, codziennie od **12** do **1** i od **5—6**; w niedzielę i święta do **10** rano. Ubogich bezpłatnie. 10

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów.**

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski. Kurs I-y w **14** zeszytach, **Kurs II-gi** wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13)

Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-y zeszyt **„Samouczka" Francuskiego i Ruskiego.** Skład główny u autora **(Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 4

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

Bronisławy Müller

(Bednawskiej)

przeniesiona została z ul. Aleksandrya

na Swiętokrzyską N-r. 17.

973—25—17

Nakładem spółki wydawnictw illustrowanych wyszło:

Album Artura Grottgera

„WOJNA"

(w dolinie łez) 15

11 rycin z portretem Grottgera oraz tekstem T. Szabłowskiego. **Cena kop. 80,** w ozdobnej teczce, ryciny w kartonach **rs. 1 k. 50.** Wydanie duże, wykwintne w formacie 42×32 ctm., ryciny na kartonach w ozdobnej tece ze złoceniami **rs. 4 kop. 50.**

Skład główny w księgarni Jana Fiszera Nowy Swiat 7.

Na raty Duży Sklep Manufakturnych i Sukiennych towarów. Życzący na raty adres osobiście lub pocztą **Nalewki 36**

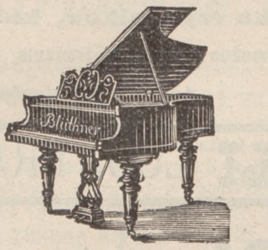
12 **Ch. Kantorowicz.**

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

64 50—46 NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład *Fortepianów*



Pianin *i Organów*

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach

ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY

MAURYCEGO ERLICH 899-24-23 ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosownemi aparatami za wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. **Warecka 10.**

Pierwsza specyalna fabryka

wyrobów skórzano-galanteryjnych i przyborów podróżnych

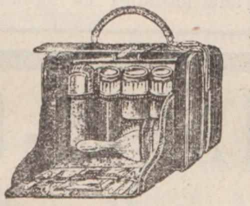
B-ci NEUMAN, w Warszawie

17

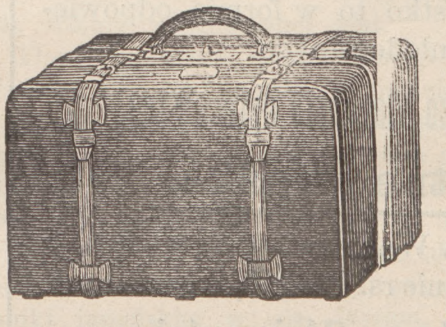
5. Bielańska 5.

Poleca wielki wybór: Waliz, toreb, nesseserów podróżnych, pudełek do kapeluszy skórzanych i drewnianych, kuferki, ramki, albumy, pledy, paski, portfele, pugilaresy, portmonetki, portcygary po cenach hurtowych.

tylko Bielańska 5



od R. 3 do R. 25.



od R. 2,50 do R. 20.

tylko Bielańska 5

Przyjmuje się zamówienia na pojedyńcze sztuki.

Wysyła się za zaliczeniem.

SZKOŁA kroju i szycia, PRACOWNIA ubiorów damskich

Maryi Maciejowskiej

NOWY-ŚWIAT 56, m. 5.

Mam honor zawiadomić osoby interesowane, że po zwiedzeniu najpierwszych zakładów paryskich, pomiędzy innemi i szkoły p. Abla Goubaud, stosuję w moim zakładzie widziane tam ulepszenia w kroju, pasowaniu i szyciu. 49

NIEZRÓWNANE, NADER PRAKTYCZNE PASY BRZUSZNE

(także pępkowe i nerkowe) zostały nowo-wynalezione i opatentowane! Są one także i elastyczne, leżą znakomicie i mogą być przez każdego za pomocą umieszczonych na nich śrubek rozszerzone, zwężone, przedłużone i obrócone, przez co też są one najdoskonalszemi pasami brzusznemi. Otrzymać je można (także po listownem podaniu miary objętości brzucha w najgrubszem jego miejscu) jedynie w Zakładzie Optyczno-Chirurgicznym **J. Drehera, Szpitalna 6.** Tamże Bandaże rupturowe elastyczne (bez sprężyn), oraz sprężynowe z pelotami gumowemi (nowość!), ściśle przylegające i nie ugniatające, Geradehaltery, Pończochy elastyczne, Przepaski ochronne damskie, Narzędzia lekarskie, Wyprawy połogowe, Irygatory, Termometry lekarskie minutowe, oraz inne, Okulary i Binokle etc. etc.—Wybór wielki. Ceny najniższe. Wysyłka pocztą za zaliczeniem. 18

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-36

Michał Pik, optyk mech. m. Warsz. **Warszawa, ulica Miodowa nr. 14**

Kapelusze, suknie żałobne

oraz wszelkie przybory pogrzebowe poleca:

Kaucyonowane Przedsiębiorstwo Pogrzebowe

F. WODECKIEGO

ul. Marszałkowska 106

pomiędzy Chmielną a Widok.

Załatwia kompletne pogrzeby i przeniesienia zwłok szybko, akuratnie i tanio. 10.9.

Pierwszorzędne biuro **Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie-Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 901—25—21

Uprasza się o zwrócenie uwagi na niebywałej dobroci

CUKRY DESSEROWE.

NOWO-OTWORZONEJ FABRYKI CZEKOLADY.

i Cukrów Desserowych.

TEODORA KOZIŃSKIEGO

Marszałkowska 123. 951-25-19

Ceny nizkie.

Nowa Pracownia!

Po długoletniej praktyce za granicą i w kraju, otworzyłem pracownię okryć i kostyumów damskich (genré tailleur). Specyalność kostyumy sportowe. Niniejszem mam zaszczyt polecić się JW. i W. Paniom.

Z uszanowaniem

Jan Bydliński

53 krawiec damski i męzki.

Nowogrodzka 17.

K. M. Schröder

Nowy Świat 24.

Skład fortepianów i pianin.

Wynajem i sprzedaż na raty.

Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**

944—53—37

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne Handlu Towarami Aptecznemi

dawniej

Zjednoczeni Aptekarze i Ludwik Spiess i Syn

Zarząd i Składy Główne ul. Senatorska № 24.

Filje: w Warszawie: Plac Teatralny, ul. Marszałkowska 140; w Łodzi: ul. Piotrkowska 11.

polecają:

Świeżą oliwę nicejską.
Galatyny.
Farby olejne.
Octy francuskie i inne.
Farbki do bielizny.
Lakiery spirytusowe.
Perfumy.
Proszek na owady.
Lakiery kopalowe.
Mydła.